Poświętne, dn. 16 grudnia, sobota [1865]

Zdziwisz się może odebrawszy ten list... ale dla zaspokojenia Twej ciekawości z góry nadmieniam, że prawie bez żadnego interesu go piszę, tak tylko dlatego, że czasem ogarnia mnie dziwna chęć pogadanki, a tu, jak wiesz, zaspokoić jej nie mogę. Pierwiastkową moją myślą było napisanie krytyki Twojej krytyki, ale po namyśle odłożyłem to do mego przyjazdu. Nie chciałem jednak pisać krytyki uwag, które względem *Ofiary* mi zrobiłeś. Są one nadto słuszne, obiecałem sobie tylko posprzeczać się o Twoje zasady w pojmowaniu powieści. Samą *Ofiarę* poświęciłem jak owo jagnię białorunne na ofiarę Minerwie, satyrom i innym tego rodzaju bóstwom. Przyjdzie jednak czas, w którym wydam wojnę tym siłom, i chociaż przewiduję burzę, nie spodziewam się, ażeby olimpijskie pioruny krytyków miały mnie, bliskiego nieba, strącić znowu do jego podnóża.

Wybacz – może Cię razi moja werwa klasyczna, ale dziś właśnie tłumaczyłem Cezara – zresztą choćbym nic nie miał do przytoczenia na swoją obronę, mógłbym powiedzieć, że to jest maleńkie: naumyślnie. Ileż bowiem w każdym Twym liście nadsyłasz mi terminów lekarskich, nazwisk różnych chorób, narzędzi chirurgicznych itp.

Tu rozcinasz skalpelem myśl jaką, tu leczysz społeczność z driapii czy z drapy – sam nie wiem – słowem: pedanciejesz – robisz się doktorem z kościami.

Nieraz czytając Twoje myśli, w których ściśle rozmierzasz namiętności ludzkie wedle praw fizyki, medycyny itp., przypomina mi się wiersz Mickiewicza:

Cyrkle, wagi i miary
Do martwych stosuj brył
Mierz siłę na rozmiary
Nie zamiar wedle sił,

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobra społeczne skalą,
Jedność – większa od dwóch.

O ile Cię znam, zauważyłem w Tobie dwie połowiczne (nie położnicze) strony, dwa pierwiastki wprost sobie przeciwne, które nie wiem, jakim sposobem zlały się w jedno dla utworzenia całości.

Jedną z tych stron jest powierzchowność, a z pierwszego wejrzenia i wnętrze chłodne, spokojne, zimne – z tym wszystkim łączą się niektóre przekonania (nawet najwięcej) odpowiednie powierzchowności, mianowicie: cześć dla formy – spokój w wyobrażeniach politycznych i moralnych, trochę pedanterii itp.

Druga strona to Twoje uczucie, Twoja miłość teraźniejsza. – Ten, kto by Cię nie znał,

a poznał raptem niedobrze, dowiedziawszy o drugiej stronie zawołałby z poetą: „Ależ to wulkan pod tym popiołem!” – Ale to popiół na wulkanie ma prawo powiedzieć znając Cię dobrze.

Tak wyglądałeś przynajmniej w czasie ostatniej mojej bytności w Warszawie; dziś? – nie wiem. – W naszych latach, latach odmian, walk wewnętrznych i rewolucyj – trudno powiedzieć o młodzieńcu, którego widziało się wczoraj – jakim jest dziś. Być może, że się zmieniłeś, Twoje częste zwroty: daj Boże, dałby Bóg etc. dają mi dużo w tym względzie do myślenia.

Chcę poprzeć moje twierdzenie o zmianach młodzieńczego wieku. Przed kilku tygodniami byłem, jak wiesz zresztą, usposobienia cyniczno-sceptycznego. Obaśmy tacy byli. Dziś nie poznałbyś mnie w tym względzie. – Nie z wyrozumowania, nie z żadnych wniosków filozoficznych, ale jakoś mimowiednie, jakoś z potrzeby klęknąłem pewnego wieczora do nie mówionego od dwóch lat pacierza. Od tej chwili wierzę – całą siłą. Krótka ta modlitwa podziałała na mnie zbawiennie. Spojrzałem w przyszłość i wzdrygnąłem się: Jaka szalona, jaka mętna, jaka bez jutra! Uczułem coś w kształcie żalu i od tej chwili powtarzam: wierzę. Co więcej – zdaje mi się, że doszedłem do wniosku, że są natury ludzkie, może wszystkie – które nie mogą, którym niepodobna obejść się bez wiary. Ja mam taką naturę – taki charakter. Przekonałem się, żem nigdy nie wątpił zupełnie, że bylem w zawieszeniu, w walce, która dziś padła zwycięsko na stronę wiary.

Być może – nawet zapewne, jak z listów widać, że i Ty w tym czasie opuściłeś chorągwie, ateisto! Postarajmy się wytłumaczyć sobie: dlaczego?

Chcę wierzyć, że na Ciebie wpłynęła miłość. Że: „pod jej gorącym tchnieniem stałeś się wzorem” itp. (patrz *Ofiarę*).

Jeżeli wierzysz, to zapewne z tego powodu.

Ale co wpłynęło na mnie? – Muszę przyznać, że małą przyczyną była istota bezmyślna, bezwiedna, więcej nikczemna niż szlachetna, więcej zła niż dobra – więcej głupia niż zła. Jest to G. J. W nic nie wierzy!? Tak, ale ten ateizm wyszedł z życia pełnego brudów i zbydlęcenia, w którym wiara zgasła nie z przekonania, ale w błocie zła. – Bydlęciu lepiej, jeżeli za grobem nie ma przyszłości – nic więc dziwnego, że bydlęta dla swego właśnie zbydlęcenia zapierają się jej otwarcie. – Większa część ateistów jest z podobnego źródła takimi. – Być więc z takimi ludźmi bratem w ideach? O, to wolę je cisnąć pod nogi tym, którzy je wywołali. – Dziś jakoś życie przedstawia mi się jeżeli nie poetyczniej, to może jaśniej, praktyczniej, a nawet i weselej.

To jeden powód – drugiego trudniej mi przyszło odszukać.

Czy wierzysz, że nim jest miłość?!

Jaworowska, Dembowska i wszystkie tym podobne sroczki przelecą Ci może przez głowę – mnie jednak przez serce nie przeleciały – a choćby? – to zawsze: co przelatuje, to się nie zostaje, nie tam więc szukać mojej miłości.

I gdybyś mi kazał wskazać sobie przedmiot – nie umiałbym tego uczynić. Miłością nazywam w sobie jakąś siłę, która mi mówi: szukaj – jakąś potrzebę wewnętrzną, nieprzełamaną, co nieraz tak wzbiera w piersi, tak rada by wylać się na zewnątrz, że rzeczywiście nieraz szukam, którą z już znanych mi kobiet obrać za przedmiot mej miłości. Biegnę wtedy do moich fotografii i patrzę w te piękne twarze, a serce tymczasem mocniej bije, a rozum i uczucie walcząc ze sobą pytają, czy nie ta?

O ta! po tysiąc razy ta – wołam wewnętrznie, gdy spojrzę na nieskalane rysy Sm., i pieszczę ją wtedy wzrokiem, i myślą stawiam tę lubą postać przed sobą – a w takiej chwili somnambulistycznego zachwytu przysiągłbym, że widzę ją wyraźnie, jak podaje mi rękę wskazując cel i szczęście życia.

Ale o ile urocze marzenie – o tyle zimniejsze przebudzenie.

Podczas marzenia kocham ją, tak mi się zdaje – najszczerzej, najgłębiej, jak tylko umiem i mogę. Ale gdy mary znikną – gdy zimniejsza rozwaga chłodem rozsądku mnie obleje, wtenczas pytam sam siebie, czy miłość oparta na fantastycznym widziadle gorączkowej wyobraźni może być trwałą? Może być taką, o jakiej ja marzę, jakiej pragnę? Nie kocham jej więc, ale poznać mi ją tylko, a wtedy wszystkie siły moje włożę w to uczucie, które musi mnie uszlachetnić – a jej dać szczęście!

Pod wyrazem szczęście nie rozumiem, abym miał siebie jej narzucać – bo choć pragnę, żądam całymi siłami dzielić z nią życie wiem jednak aż nadto dobrze, że to mrzonka, na którą nie trzeba Twego skalpela – dość zdrowego rozsądku.

Chciałbym tylko w dzisiejszych tęczowych marzeniach osnuć ją ręką niewidzialnej opieki, która by usuwała z jej drogi wszystkie nieszczęścia – a nawet drobne przykrości, która by czuwała nad nią z prawdziwie macierzyńskim uczuciem trwogi i niepokoju o każdy krok dziecięcia.

Ale na to trzeba by ją kochać – a jej dotychczas nie kocham.

Jeżeli jednak zakocham się kiedyś, tak będę się starał pojmować miłość.

Jest ona egzaltowana jak bohater powieści – prawda, ale piękna i idealna. Niepraktyczna, niemożebna w życiu, można by zarzucić – ale zdaje mi się, że można znowu mieć dosyć siły i woli, ażeby to, co choć jest niepodobnym – uczynić praktycznym i możliwym. –

Dziś przynajmniej sądzę, że jeżeli teraz nie mam jeszcze dosyć siły, to ją mieć muszę, a zdobędę ją przez ciągłą pracę nad sobą, przez ciągłą walkę wewnętrzną, która zahartuje moją wolę i postawi silnym do walki na śmierć i życie, jaką kiedyś pragnę podjąć w imieniu idealizmu.

Dziś jestem słaby – zwycięstwo byłoby dla mnie niepodobnym. – Ale chcę dla tego walczyć, w imieniu tego, co nazywają idealnym, pięknym i dobrym. – Idealizm – piękno i dobro są, zdaje mi się, pojęcia zbliżone do siebie bardzo – proza wiec życia, mówię o życiu duchowym, które dziś pod nogami realizmu – musi pociągać wiele złego, wiele brudu i głupoty – dlatego, powtarzam, chcę walczyć przeciwko takiemu życiu. –

Nie pragnę jednak rozegzaltować ludzkość, ażeby pienia poetów na pierwszym kładła planie, a nie zważała na nędzę fizyczną – nie! tego nie chcę, bo podzielam zasadę: zdrowy duch w zdrowym ciele – ale chcę coś idealniejszego, cos szlachetniejszego pierwiastku przymieszać do codziennego, tak zwanego praktycznego życia.

Naturalnie, że te dwa światy chcę pogodzić najprzód, a może nawet jedynie w sobie – czy mi się to uda, Bogu wiadomo. W każdym razie zostawiłbym przykład, że można tak żyć, jak ja żyłem.

Na tym zakończę list. Przypomni Ci on rok 63, kiedyśmy szarą godziną albo i wieczorem tworzyli tysiące coraz nowych systemów, kiedyśmy przewracali do góry nogami całą ludzkość – lub występowali z nią do walki uzbrojeni w logikę Kudasiewicza i w *Historię filozofii w zarysie* (Szwe[n]glera).

Chciałem tym listem wskrzesić owe wieczory – i chociaż z inną bronią, wystąpiłem także do walki.

List ten i przedostatni to dwie ostateczności – kilka dni zmienia czasem człowieka.

Zapomniałem Ci powiedzieć, że mam zamiar napisać szkic historyczny pt. *Spytko z Melsztyna* – będzie to pół-powieść, pół-historia. Przedmiot dosyć się nadaje. Opisów mogę wsadzić mnóstwo – a trzeba mieć trochę więcej źródeł, niż ja mam do tej pory.

Dużo jest wprawdzie materiału w *Jadwidze i Jagielle* Szajnochy, ale zawsze nie tyle, co potrzeba – bądź więc łaskaw zobaczyć w III tomie „Biblioteki Warszawskiej" z roku 1844. Tam, zdaje się, jest artykuł Michała Balińskiego pt. *Spytko Melsztyński i ród jego*. Jeżeli znajdziesz, to jak przyjadę, porobię sobie wypisy.

Bywaj zdrów.

H. S.

Nie pisz, bo już by mnie Twój list nie zastał, a w takim razie chciano by mnie wyręczyć w przeczytaniu.